

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 28 XI. 1928.

Nr. 2

JÓZEF CHELMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

18

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

—Przyniosę panu ciepłej wody i bandażę. Niech pan sobie ranę przemyje.

Spojrzał na nią z wyrazem wdzięczności.

— Będę potrafił się odwdziaczyć, szepnął.

— Nie o to mi chodzi, odrzekła. Uważam tylko, że nad bezbronnymi nie trzeba się znęcać. Nie stęty nasi ludzie....

Raptem urwała i zaczęła po drabinie wspinać się ku górze.

— Dziwna kobieta, medytował Suchocki. Wy mawia się wcale zręcznie, lecz tem nie zamydli mi oczu. Litość nią kieruje? Wątpię. Ano, zobaczmy co dalej będzie.

Berta po krótkiej chwili wróciła z miską pełną ciepłej wody, z watą i bandażami. Detektyw obmył głowę i próbował ją obwiązać, co jednak nie sporo mu szło. Kobieta przyglądała się z uśmiechem, aż wkońcu zaproponowała:

— Pan pozwoli, że mu pomogę.

I rączo, szybko a delikatnie obandażowała rany.

— Serdeczne Bóg zapłać! podziękował Suchocki.

— Jeszcze raz powtarzam, odezwała się, że niema za co. Sama panu głowę rozciąłam, więc moim obowiązkiem było naprawić.

Mówiła to głosem napozór obojętnym. Z jej oczu jednak patrzyły tklliwość i współczucie. Wywiadowca rozumiał niema ich mowę i przez myśl mu błysło, czyby z tej kobiety nie udało mu się zrobić swej współpracownicy, raczej swego dobrego ducha.

— Pani Berto, przemówił. Nie rozumiem, jakim sposobem pani znalazła się pośród tej bandy. Tkwi w pani tyle kobiecości, tyle miłosiernego serca i mimoto przykładą pani ręki do niecnym czynów zbrodniczych? Czem to sobie wytłumaczyć.

Berta opuściła powieki. Na rzęsach zaszkliły się łzy. Z piersi jej wydobył się niby jęk:

— Z musu panie. Ugrzęzłam w tem błocie i trudno z niego się wydobyć. Gustaw mi rozkazuje. On mój tyran, mój władca. Nie mam ani siły ani możliwości z nimi zerwać. Nie mogę, bo wtedy czeka mnie.... śmierć.

Suchockiego dusił żal. Oto stała przed nim młoda dziewczyna, piękna i dobra i mimowoli musiała służyć niegodziwym celom. Z całej duszy pragnął tej nieszczęśliwej istocie dopomóc.

— Niech pani zbierze odwagę, rzekł. Niech pan ni mi zaufa. Ja panią oswobodzę ze szponów tej szajki. Toć chyba pani tak dalece nie stwardniała

żeby czuła zadowolenie ze swej roli, żeby uznawała i pochwalała ich zbrodnicze praktyki.

— O nie, panie. Brzydzą się tem wszystkim! Brzydzą się niemi, brzydzą się Gustawem. Nieraz przychodziło mi do głowy: Odbierz sobie życie! I całymi dniami nad tem przemyślałam. Wkońcu jednak zawsze zbrakło mi odwagi. Pan zrozumie, takam młoda, strach poprostu życie tak wcześnie opuszczać.

— Pomogę pani! powtórzył z mocą.

Na ustach jej zakwitł uśmiech żaloszny i dobrotliwy. Pokiwała głową:

— Wierzę w pańskie dobre chęci, lecz cóż mi pan pomódz może? Myśl pan o sobie. Grozi panu niebezpieczeństwo. Kto wie, czy pan jutro ujrzy światło dzienne.

Detektyw na te słowa pochylił czoło. Ważył w mózgu, czy zdobyć się na ostateczność i zaproponować Bercie zdradę jej współpracowników. Kiedy na nią spojrzał, oczy gorzały mu ogniem, biła z nich moc i groźba, obietnica i pogróżka. Mówił szepem, ale szepem warkotliwym, dobywającym się z gardła:

— Słuchaj mnie pani i dobrze sobie rozważ. Ja się tej całej waszej bandy nie obawiam. Was wielu ja jeden. Za wami przemoc, lecz za mną sprawiedliwość. Za mną Bóg! To przeświadczenie dodaje mi siły, energii i obrotności. Czuję, że wasze plany obrócą się w niwecz. Inaczej być nie może. Prawo musi trjufnować. Ucieknę, wydobędę się z tego djabelskiego koła. A wtedy....

Zamilkł, ciężko dysząc. Po chwili znowu ciągnął:

— A wtedy przyjdzie kara. Ręka sprawiedliwości ciężko spocznie na ramionach tych wszystkich hultajów. Pani Berto! Rozumiem, iż jakieś fatalne okoliczności pchnęły panią na służbę dla tych złoczyńców. Cofnij się pani póty czas. Czekaj panią łaska i ochrona. Inaczej pani zginie.

Znowu się zatrzymał, poczem dokończył, akcentując każde słowo:

— Pomóż mi pani uciec! Tem odkupisz swe winy.

Berta stała jak urzeczona. Żrenice jej rozszerzyły się w nagłym przerażeniu. Nie umiała wydobyć z gardła ani dźwięku. Suchocki działał na nią niby hipnotyzer. Po kilku dopiero sekundach otworzyła usta, żeby dać detektywowi odpowiedź:

W tej chwili na górze odezwały się ciężkie kroki. To Gustaw podniósł się ze swego krzesła i podszedł do otworu. Pochyliwszy się wrzasnął:

— Berta, ty mało. Co tam tak długo porabiasz u tej polskiej świni. Czy z nim spiskujesz? Zaraz mi wylaż do izby.

Dziewczyna skurczyła się niczem pies pod uderzeniem batoga. Drżącą ręką porwała miszkę, drugą zbierała rozłożone bandażę, łkając po ciuchtku:

— Panie! Złote ma pan serce i odważne. Pan taki inny niżeli oni. Wszyscy są brutale, wszyscy łakną krwi, pieniędzy i niemi nasycić się nie mogą. W panu tyle szlachetności. Dotąd tylko o panu słyszałam, widzieć widziałam pana z daleka. Poznałam pana dziś. I zdawało mi się, że do naszej mrocznej izby wstąpił bohater skrzydlaty. Imponował mi pan i wzruszał mnie. A kiedy pan Gustawa rzucił na ziemię, och jak serce biło mi z radości. Mścił pan swoje krzywdy, mścił pan te niezliczone razy, jakie z jego ręki otrzymuję. Mimo to uderzyłam pana. Dlaczego? Strach mnie zmuszał. Śmiertelny strach przed tem, co się ze mną stanie, jeżeli nie postąpię według instrukcji. Serce rwało mi się z bólu w strzępy, a dłonie zadawały morderczy cios.

Panie Suchocki! Całe popołudniu myślałam o tem, jak postąpić. Czaszka poprostu od nawału myśli pękała. Chciałam iść na policję i o wszystkim meldować. Nie zrobiłam tego, bo znowu strach mnie zdusił. Powiem panu, czego w innej sytuacji nie powiedziałabym za nic w życie. Pokochałam pana. Pokochałam w ciągu tych kilku godzin wewnętrzną męczarnię. Wiem, że bez wzajemności. Bo skądże pan może pokochać kochankę bandyty, spodloną zbrodnią i gorszą od dziewczki ulicznej. Warjuję, rozum mi się mąci. Największym wysiłkiem woli utrzymuję jakiś spokój.

Zycie oddałabym, żeby pana uratować. Tak czuję, lecz nie potrafię tak postąpić. Boję się ich męczarni, ich tortur. Panie gdybym miała tę pewnością, że mnie zastrzelą od razu, nie wahałabym się ani chwili. Oni jednak mściliby się okrutnie. Męczyliby mnie, jak szatan męczyć nie umie.

Kocham pana, do ostatka dni moich go nie zapomnę, lecz pomóc mu nie potrafię. Niech Bóg go ma w swej opiece! I wybac mi panie!

Zanim Suchocki się spostrzegł, porwała jego rękę i przyłgnęła do niej rozpieczonemi wargami. Czuł też, jak spadły mu na ciało lzy gorące, palące. Następnie szarpnęła się gwałtem i przedko znikła u szczytu drabiny.

Drzwi nad piwnicą trzasły, u góry rozległy się przekleństwa i słowa klótni. Wywiadowca siedział znowu sam.

Zapalił papierosa. Ogarek świeczki tlił się ostatnim płomieniem. Niebawem wygasł i Suchockiego ogarnęły ciemności. Zastanawiał się nad tem, co usłyszał od Berty. Gwałtowność jej wyznania zadziwiła go, choć od razu wnioskował, iż wywarł na serce dziewczyny wpływ głębszy. Przedtem jednak traktował swoje odkrycie ze strony żartobliwej, teraz zapatrywał się na sprawę poważniej. Potrafił ocenić rozterkę duchową dziewczęcia i nie czuł do niego żadnej pretensji, iż odmówiła jego żądaniu.

Minęła blisko godzina zanim Suchocki ochłonął z niezwykłych wrażeń. Przypomniał sobie, że dziś pewno czeka go walna rozprawa z wrogiem i począł w głowie układać plan obrony.

Ostatecznie trzepnął palcami i mruknął:

— Co tu się głowić. Zda się to psu na budę. Przyjdzie czas, przyjdzie rada. Lepiej się przespaci i pokrzepić siły.

Zdjął marynarkę. Związał ją w walek i ułożył na skrzyni, poczem sam się wyciągnął, podsuwając zaimprovizowaną poduszkę pod głowę. Przymknął oczy. Zасыpiając westchnął:

— Poczołwa dziewczucha. Trzeba jej pomóc.

Po chwili w piwnicy rozchodził się regularny oddech śpiącego. Suchocki, któremu zapowiedziano śmierć, który za parę godzin miał jej spojrzeć w oczy, spał jak susel, marząc o czynach bohaterkich.

I słusznie później przezwano nieustraszonego wywiadowcę „człowiekiem bez nerwów“. Spać w obliczu śmierci nie każdy zdoła, chyba ten tylko, kto ma spokojnie sumienie i kto losy swoje z całą ufnością złożył w ręce Opatrzności.

Zegar w izbie Gustawa dzwonił godzinę za godziną. Bandyta, wypiwszy trzy szklanki mocnego grogu, położył się na łóżko i niezadługo pierś jego grała głośnie chrapaniem. Berta siedziała przy piecu pogrążona w smutnym dumaniu. Od czasu do czasu wybiegło z jej ust tłumione łkanie i wtedy składała ręce i wnosząc oczy ku górze jęczała:

—Boże wysłuchaj mnie niegodnej, mnie grzesznicy nie wartej zmiłowania. Ochroń go! Ratuj go! Niech on nie ginie za mojem przyczynieniem.

Płacz, wewnętrzna męka, moralne samobiczowanie się wyczerpały wkońcu siły dziwczęcia. Berta lekko oddurzona oparła się o róg pieca i zasnęła. Słaby płomyk naftowej lampki odbił się tęczowemi refleksami w perłach łez, zastygłych w kącikach oczu Berty.

Nadeszła północ. Zegar ratuszowy wybił dwu nastę miarowo i donośnie. Bicie jego słycać było nawet w izbie Gustawa, nie obudziło ono jednak ani bandyty ani jego kochanki.

Znowu minęło może dziesięć minut. Wtedy w cichej uliczce zadudniły kroki kilku szybko idących mężczyzn. Kroki zatrzymały się przed oknami Gustawa.

Rozległ się przytłumiony świst.

Gustaw się nie ruszył.

Wówczas ktoś lekko w szybę zadrapał.

Gustaw spał dalej.

Naraz silna jakaś pięść uderzyła w ramę okna i odezwał się basowy głos:

— Otwieraj do cholery!

Bandyta skoczył na równe nogi.

— Kto tam? zapytał trwożliwie.

— Otwieraj! warknął osobnik za oknem.

— Ach, to oni! mruknął Gustaw. Szybko obudził Bertę, porwał klucz, wiszący obok kominka na gwoździu i wypadł do sieni otwierać bramę.

Berta podkreśliła knot u lampy tak, że w izbie zrobiło się jaśniej.

Niebawem weszło do mieszkania pięciu mężczyzn, opatulonych w szerokie płaszcze podróżne. Rozejrzeli się wokoło, zdjęli płaszcze i kapelusze i rozsiedli się na krzesłach i na łóżku.

Czterej z pomiędzy przybyłych byli to chłopcy jak dęby, rozrośli i krzepcy. Wzrostem a widocznie i siłą dorównywali Gustawowi. Piąty natomiast był szczuplejszy i ubrany z wykwinną elegancją. Mieszkaniec Chojnic, widząc go, był w nim poznał owego osobnika, co jednej z ostatnich niedziel zajechał autem na rynek chojnicki a potem udał się nad jezioro charzykowskie i stamtąd w towarzystwie Pyry i Franza udał się w stronę Wolności do lasu.

Słowem był to Lorenz, pełnomocnik „Pięcioramiennej Gwiazdy“ na Polskę.

Lorenz trzymał w ręku cienką szpicrutę. Obrzucił okiem całą izbę i przemówił do Gustawa ganiącym tonem:

— Spaleś. Pewno znowu się upiłeś. Gdzie więzien?

Gustaw wskazał na podłogę i odrzekł:

— Tam w piwnicy.

Lorenz, zwany ogólnie szefem, pogroził mu szpicrutą:

— Powiadam ci, że tym razem uszło ci na sucho. Ale popamiętaj sobie na przyszłość. Za takie zaniedbywanie obowiązków spotka cię surowa kara. Spaleś, a Suchocki, ten chytry pies, mógł w tym czasie niespostrzeżenie się wymknąć. Tego bym niedarował. Tu masz zapłatę za złapanie Pchły.

I rzucił Gustawowi zwitek banknotów. Bandyta szybko się schylił, podniósł pieniądze i schował je na piersiach.

Lorenz zaś rozkazał:

— Przyrowadź więźnia!

Gustaw zeszedł do piwnicy. Detektyw spał tak spokojnie, jakby znajdował się u siebie w domu, w swoim łóżku. Olbrzym trącił go i krzyknął mu nad uchem.

— Wstawaj kanaljo i chodź za mną!

Suchocki usiadł na skrzyni, zrazu nie potrafił sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje. Gustaw powtórnie przekleństwem przyprowadził go do przytomności. Wywiadowca zrozumiał, że zbliża się decydująca chwila. Nie oponował ani gestem. Zeskoczył ze skrzyni i pierwszy wstąpił na drabinę, za nim piał się Gustaw.

Stanąwszy w izbie, detektyw przymrużył oczy. Światło go raziło. Po chwili przyzwyczaił się do blasku i spojrzał na obecnych, świdrując każdego z osobna okiem poprostu na wylot. Wiedział: To wysłanicy, którzy z polecenia tajemniczej bandy zrobią z nim krótki proces.

Mimoto nie tracił fantazji. Ukłonił się elegancko wszystkim wokoło i wesoło się zarekomendował:

— Jestem Suchocki alias Pchła, wywiadowca w służbie śledczej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Znajduję się w pogoni za szajką morderców, więc obecnie na służbie. Przepraszam za mój wygląd. Zwykły przypadek w mojej praktyce. Panowie chcą ze mną mówić. Z kim mam przyjemność. Proszę jednak się streszczać, gdyż chce mi się spać i zamierzam zaraz iść do domu, żeby ledz w słodkich objęciach Morfeusza.

Członkowie „Pięcioramiennej Gwiazdy“ patrzeli na Suchockiego z bezgranicznym zdumieniem. Zdawało im się, że stanął przed nimi jakiś warjat, a nie słynny detektyw. Ta niezwykła werwa zbijała ich z tropu i oszalała. Tyle niefrasobliwości, tyle lekceważenia niebezpieczeństwa i tyle zuchwałości nie mogło mieścić się w człowieku o zdrowych zmysłach. Milczeli, spoglądając pytająco wzajem na siebie.

Pierwszy odezwał się Lorenz:

— Panie Suchocki! Przestań pan tych błazeńskich kawałów. Przybyliśmy z panem poważnie pomówić, bo o poważne rzeczy chodzi.

— Mój panie, odparł wywiadowca. Toć nie przypuszczam, że panowie przyjechali prosić mnie do kabaretu. Należę jednak do ludzi o pewnej cywilizacji. Przedstawiłem się panom, bo uważam to za obowiązek taktu towarzyskiego, proszę też aby panowie zechcieli odsłonić swoje incognito, inaczej z nieznanymi mi ludźmi nie rozmawiam.

Pelnomocnik „Pięcioramiennej Gwiazdy“ parsknął śmiechem:

— Na Boga! Minał się pan z powołaniem, trzeba mu było pójść do cyrku na kłowna, a nie wstępować do policji. Zresztą my pana i bez jego prezentacji doskonale znamy, a także i pan chyba się domyśla, kto my za jedni. Jesteśmy tymi, których pan poszukuje.

— Nareszcie! zawołał Suchocki i klasnął w ręce. A zatem mam tę wątpliwą przyjemność rozmawiać z wysłannikami szajki morderców i rabusiów. Z radością panów widzę, z większą jeszcze radością będą ich transportował za kratki więzienne.

— No, no! Tylko bez przechwałek, przerwał Lorenz. Tymczasem pan w naszej mocy, w mocy „Pięcioramiennej Gwiazdy“ i żadna siła pana z naszych rąk nie uwolni. Pan jeno sam może się uwolnić.

— A to jakim sposobem?

— Daj nam pan słowo honoru, że zaprzestasz walki z nami, że odsuniesz się od zbadania „tajemnicy starej chaty“. Skoro je otrzymamy, zaraz pana puścimy wolno.

— Tak panowie wierzycie memu słowu?

— Owszem!

— Więc powiem panom, że daremnie się trudzicie. Co raz postanowiłem, przeprowadzam do końca. Właśnie teraz nie cofnę się od ścigania panów, kiedy ich ujrzałem, kiedy ich twarze wbiłem sobie w pamięci i kiedy wiem, że tworzą szajkę pod nazwą „Pięcioramiennej Gwiazdy“.

— Dobrze. Wydałeś pan na siebie wyrok. Zginiesz śmiercią. Hej ludzie, bierzcie tego warjata.

C. d. n.

Kardynał Wiesemann

FABIOLA.

Z zeznań Torkwata wiadano, iż Fulwusz wytropił starannie wszystkich sług przybytku Bożego i dał swym szpiegom dokładny rysopis. Ztąd ledwie godziło się im wyjść za dnia inaczej, jak w zupełnym przebraniu. Święty Chleb był przygotowany, a kapłan stojąc przy ołtarzu, na którym spoczywało ciborium, upatrywał między obecnymi, którzyby z braci jego, mógł napewniej dopełnić tak wzniosłej i niebezpiecznej powinności. Zanim kto inny mógł się wysunąć, młody akolita Tarczyjusz klęczał u nóg kapłana, trzymając ręce wyciągnięte przed nim, gotów przyjąć święty ciężar, a z postawą tak niewinną, jak piękność anioła, dopraszał się o pierwszeństwo.

— Jesteś za młody, moje dziecko, rzekł kapłan z czułością.

— Moja młodość będzie mi najlepszą obroną. O! nie odmawiaj mi tego wielkiego zaszczytu! Łzy stanęły w oczach chłopca, a policzki pałały skromnym wzruszeniem. Wyciągnął obie ręce, a błaganie jego było tak pełne zapału i odwagi, że mu się kapłan oprzeć nie zdołał. Wziął Boskie tajemnice strannie ówinęte i włożył w ręce młodzieńca mówiąc:

— Pomnij Tarczyjuzu, jaki skarb jest powierzonej towej pieczy, unikaj ludniejszych ulic i pamiętaj uchwycić od wszelkiego szwanku dary Boże!

— Prędzej umrę, aniżeli bym je naraził, odpowiedział młodzieniec, tuląc niebiański ciężar do piersi i z pobożną radością puścił się w drogę.

Z większą niżby po młodych latach spodziewać się można było roztropnością, przesuwał się lekko przez ulicę, starając się uniknąć ulic głównych, ale i zbyt odludne podobnie omijając. Wkrótce zaszedł na plac obszerny, gdzie chłopcy dopiero co ze szkoły wybiegli, zaczęli się bawić.

— Jeszcze jednego nam potrzeba, zkadby go wziąć? zapytał naczelnik szkolnej gromady.

— Doskonale! krzyknął drugi, oto idzie Tarczyjusz, od wieków go nie widziałem. Bywał do wszystkiego bardzo dobry. Chódź Tarczyjusz, dodał, zatrzymując go, baw się z nami.

— Nie mogę, Petyljuszu, gdyż idę teraz w sprawie nadzwyczajnie ważnej.

— Musisz, odezwał się pierwszy z chłopców — silny młodzieniec, zatrzymując go.

— Proszę cię na wszystko, rzekł błagając Tarczyjusz, puść mnie!

— Nie odparł tamten. Ale co ty tak starannie chowasz pod suknią. Pokaż mi to! i wyciągnął rękę do świętego Skarbu.

— Nigdy, nigdy! odpowiedział młodzieniec.

Ciężkie uderzenie pięścią od razu go zagłuszyło: krew lała się z głowy, i póty go bili, aż upadł na ziemię, ale z rękoma złożonymi na piersiach. Motłoch rzucił się na niego, aby odsłonić Najświętsze brzemię, kiedy właśnie w tej chwili jakaś olbrzymia siła w lewo i w prawo rozpedziła wszystkich oprawców. Niektórzy poodlatywali aż na drugi koniec placu, inni się na miejscu zakręcili i poprzewracali, a reszta cofnęła się przed wysockim atletycznym żołnierzem. Schylił się rycerz ze łzami w oczach, podniósł poranionego i mdlejącego chłopca z taką czułością jak najlepsza matka, i zapytał serdecznym głosem:

— Czy bardzo cierpisz Tarczyjusz?

— Nic to nic — Kwadratusie, odpowiedział otwieraając oczy z uśmiechem, ale ja niosę świętości Boże o nich miej staranie, — umieram.

Żołnierz podniósł chłopca i wziął na ręce z głębokim uszanowaniem, i tak niósł nietylko ofiarę młodzieńczej wiary, ciało wyznawcy, ale samego króla i Pana męczenników i Boską ofiarę ludzkiego zbawienia. Głowa dziecka opierała się z ufnością na szyi żołnierza, lecz ręce nie opuściły do końca pieczy nad świętym skarbem. Podwójne brzemię nie było chrześcijańskiemu żołnierzowi ciężarem, nikt go nie zatrzymał, aż spotkał się z czcigodnym Djonizym. Ten łzami zalany, odsunął ręce dziecięcia i wziął z łona jego Przenajświętszy Sakrament a dziecko jeszcze bardziej wydało mu się do anioła podobne, aniżeli za życia, przed godziną. Kwadratus sam zaniósł ciało męczennika na cmentarz Kaliksta, gdzie zostało pochowane poczem Djakon dał znać, że wszystko gotowe do spełnienia ofiary świętej w więzieniu.

Nastąpiła uczta chrześcijan, każdy zbliżał się do stołu Pańskiego z radością, przyjmując ciało i krew Tego, któremu ciało i krew swoją wkrótce miał poświęcić.

ROZDZIAŁ XVII.

Walka.

Ranek zajaśniał mroźny, słońce niezwykłym blaskiem jaśniało, lud w świątecznych strojach wysypywał się z domów. Rozliczne tłumy udawały się ku amfiteatrowi Flawjańskiemu. Każdy obracał swe kroki ku arkadzie, do której miał znaczek, czyli jak teraz się mówi — bilet. Potworny kolos wciągnął w siebie powoli te tłumy; żyjące potoki zalewały schody i piętra, aż nakoniec całe wnętrze amfiteatru zostało obs. w koło twarza-

mi ludzkiemi, kołyszącymi się jak fale podczas krwawego widowiska.

Zaiste ludzie ci stokroć dziksi i więcej krwi żądni od samych dzikich zwierząt, którymi się posługiwali.

Cesarz przybył na igrzyska, licznym otoczony dworem, cheiwy, jak każdy z poddanych, przy patrzeć się okrutnym zabawom i krwią oczy napoić. Tron wznosił się po wschodniej stronie amfiteatru, a po za nim obszernie miejsce przeznaczone było dla cesarskiego dworu.

Bardzo rano przeprowadzono więźniów do obwarowanej izby, gdzie im pozdejmowano okowy i łańcuchy. Tak więc całe rano pozostali razem, dodając sobie nawzajem odwagi i modląc się.

Wreszcie przełożony gladjatorów wszedł i wezwał chrześcijan do walki. Śpiesznie uściskali jedni drugich, żegnali się na ziemi, gdyż po krótkim rozstaniu mieli nadzieję połączyć się w niebie.

Weszli do areny, naprzeciwko cesarskiego tronu i przechodzili pomiędzy dwoma szeregami łowców, którzy mieli staranie o dzikich zwierzętach. Każdy z łowców miał w ręku bat, którym podcinał przechodzącego chrześcijanina. Wyprawdzano ich potem na środek areny pojedynczo lub po kilku naraz. Czasem wybraną ofiarę stawiano na wysokim rusztowaniu, aby była lepiej widziana; innym razem przywiązywano ją do słupa, aby była bezbronnejsza. Ulubioną zabawą było rzucić bestjom kobietę w sieć zawiązaną, tak aby była nie od razu pożarta, lecz jak piłka skana, taczana, szarpana, lub rogami kluta.

Pierwsze spotkanie z jednym dzikim zwierzem nieraz kończyło męczennika życie, gdy czasem trzy lub cztery bestje, kolejno puszczone, nie zadały śmiertelnej rany.

Niepodobno opisać wszystkich poprastańmy więc na towarzysza. ostat. krokom naszego młodocianego bohatera Pankracjusza. Przechodząc przez korytarz prowadzący do amfiteatru ujrzał Sebastjana, stojącego przy wejściu z kobietą starannie w płaszcz obwiniętą i zakwefioną. Poznał ją od razu, zatrzymał się, ukląkł i biorąc jej rękę, czule całował.

— Pobłogosław mi drogo matko! w tej szczęśliwej chwili, którąś mi przyrzekła i przepowiedziała.

— Patrz synu w niebiosa, odpowiedziała matka, patrz tam, gdzie Chrystus z świętymi czeka na ciebie. Odpraw świętą walkę dla zbawienia twej duszy i pokaż się wiernym i stałym w miłości Zbawiciela twego! Pamiętaj także na tego, którego na sobie nosisz drogie relikwie.

— Wartość ich niedługo podwójna będzie w oczach twoich, najdroższa matko!

— Dosyć tych bredni! — zawołał strażnik. po pychając Pankracjusza.

Lucyna cofnęła się, a Sebastjan ścisnął rękę Pankracjusza i szepnął mu:

— Bądź mężnym i niech ci Bóg dopomoże! będą zaraz za cesarzem, spojrzysz tam ku mnie i ulatując do nieba, pobłogosław mi!

(Ciąg dalszy nastąpi.)